



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## KORONACYA

ICH CESARSKICH MOŚCI

NAJJAŚNIEJSZEGO PANA

CESARZA MIKOŁAJA II-go

ALEKSANDROWICZA

i NAJJAŚNIEJSZEJ PANI

ALEKSANDRY TEODOROWNY.

**Moskwa, 26 Maja. (T. A. R.).** O godzinie 7-ej zrana zaczęły zjeżdżać się do pałacu w Kremlu osoby, biorące udział w pochodzie do Soboru Uspińskiego. Wojsko było ustawione dokoła Kremlu, a na placu Sobornym od godziny 5-ej zrana z każdego pułku piechoty po pół rotę, z wojsk gwardyjskich kawalerii po plutonie. Na drodze, wiodącej od „Krasnego Kryleca“ pałacu do Soboru Uspińskiego i dalej do Soboru Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego, były ustawione szpalery wojska z muzyką. Koło Soboru Błagowieszczeńskiego stał chór muzykantów nadwornych z trąbami.

O godzinie 7 i pół z rana Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz obszedł ustawione wojska. Wołostni starszynowie, wójci gmin i starostowie byli ustawieni na placu Soboru. Pomosty, znajdujące się tam i wokoło Iwana Wielkiego, od północnych wrót Soboru Uspińskiego do Soboru Archangielskiego były pokryte suknem czerwonym. Na trybunach, wzniesionych dla publiczności, znajdowało się mnóstwo dam we wspaniałych toaletach. Dwupiętrowa trybuna dyplomatów była przepelniona świtami książąt zagranicznych; na niższym piętrze siedział emir bucharski i chan chiwański. O godzinie 8 zrana do „Krasnego Kryleca“ przyniesiono dwa baldachimy; mały dla Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej-Wdowy, większy dla Najjaśniejszych Państwa. Dzisiaj warta honorowa była z pułku preobrażeńkiego. Na chwilę przed rozpoczęciem pochodu mistrzowie ceremonii wprowadzili do soboru Uspińskiego ciało dyplomatyczne i książąt zagranicznych ze świtami.

Z uderzeniem godziny 9 rozpoczął się pochód do Soboru Uspińskiego zgodnie z ceremoniałem. Przed rozpoczęciem pochodu Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, duchowny Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa Janyszew z dwoma dyakonami pokropił całą drogę od „Krasnego Kryleca“ do Soboru Uspińskiego.

Pod pierwszym baldachimem, który nieśli generał-adjutantami z asystentami, szła Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna obok dwu asystentów: Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Aleksandra Aleksandrowicza i następcy tronu Duńskiego. Tuż za Jej Cesarską Mością szły damy Dworu. W chwili wychodzenia Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Maryi Teodorówny z pałacu na „Krasnem Krylecu“ muzyka zagrała hymn rosyjski. Stojąca publiczność entuzjastycznymi okrzykami powitała Jej Cesarską Mość Najjaśniejszą Panią.

Pod drugim baldachimem, który nieśli generał-adjutantami z asystentami, szedł Najjaśniejszy Pan Mikołaj Aleksandrowicz z Najjaśniejszą Panią Aleksandrą Teodorówną. Najjaśniejszemu Panu asystowali Ich Cesarskie Wysokości Wielcy Książęta Aleksander Michałowicz i Włodzimierz Aleksandrowicz; Najjaśniejszej Pani Ich Cesarskie Wysokości Wielcy Książęta Sergiusz Aleksandrowicz i Paweł Aleksandrowicz. W chwili pojawienia się Najjaśniejszych Państwa na „Krasnem Krylecu“ chóry muzyki zagrały hymn rosyjski, pokryty entuzjastycznymi i niemilknięciami okrzykami: „hura!“ W cerkwiach zaczęło się ogólne dzwonienie i salwy armatnie na wieży Tajnickiej. Po przybyciu Insygniów Cesarskich do Soboru Uspińskiego, wyszli na powitanie metropolici moskiewski i kijowski, dla pokropienia wodą święconą. Kiedy Najjaśniejsi Państwo zbliżyli się do przedsionka, na spotkanie wyszli metropolici: petersburski, moskiewski i kijowski z wyższym duchowieństwem. Metropolita moskiewski wygłosił do Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa mowę, petersburski podał krzyż do ucałowania, a kijowski pokropił wodą święconą.

O godzinie 8 zrana Sobór Uspiński był już przepelniony. Z prawej strony ołtarza w pobliżu tronów były miejsca dla Ich Cesarskich Wysokości Wielkich Książąt i Książąt zagranicznych; z prawej strony dla Ich Cesarskich Wysokości Wielkich Księżniczek i Księżniczek zagranicznych. Dalej przy prawej ścianie zajęli miejsca: zagraniczne ciało dyplomatyczne, świta Dostojnych Osób zagranicznych, przy lewej ścianie damy Dworu; przy ścianie za tronami urzędnicy Dworu, marszałkowie szlachty, prezydenci miast, korespondenci rosyjscy i zagraniczni. Sobór przedstawiał widok niezwykły.

O godzinie 9 zrana w uroczystym pochodzie przybyła Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna. Tuż za Jej Cesarską Mością przybyli do Soboru Najjaśniejsi Państwo.



O godzinie 10 i pół zrana odbyła się wielka uroczystość. Ukochany Monarcha koronował się wobec Rodziuy Cesarskiej, książąt zagranicznych, dostojników i przedstawicieli stanów. Najjaśniejszy Pan miał na sobie mundur preobrażeński, oznaki orderu św. Andrzeja, wstęgę orderu św. Aleksandra Newskiego. Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna miała na sobie suknię białą srebrzystą i wstęgę orderu św. Katarzyny. Obecny był metropolita petersburski, przy współudziale metropolitów kijowskiego i moskiewskiego, przybyłego wyższego duchowieństwa greckiego i wielu archijerejów.

O godzinie 10 minut 4 Najjaśniejszy Pan przeczytał głosem silnym i dźwięcznym symbol Wiary; o godz. 10 min. 30 zrana włożył na Siebie koronę, a w trzy minuty później włożył małą koronę na głowę Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny. Po przeczytaniu pełnego tytułu Cesarskiego o godzinie 10 min. 40 rozpoczęła się salwa, poczem Ich Cesarskim Mościom Najjaśniejszym Państwu składały życzenia Osoby Rodziny Cesarskiej, Książęta zagraniczni i Księżniczki.

O godzinie 10 min. 55 Najjaśniejszy Pan, przykłonawszy, odczytał ustanowioną modlitwę, następnie metropolita petersburski przeczytał modlitwę za Cesarza od całego narodu, przyczem wszyscy uklękli. Po Pomazaniu i po udzieleniu Komunii św. Najjaśniejsi Państwo, we wszystkich oznakach godności Cesarskiej, przeszli do Soborów Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego, a następnie przez „Krasne Krylco“ do pałacu Kremlu. Z „Krasnego Krylca“ Najjaśniejsi Państwo skłonili się ludowi. Entuzjastyczne okrzyki „hura“ były odpowiedzią na ukłon Monarchy.

Po dokonaniu świętej Koronacyi Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna wyszła z soboru wśród ogłuszających entuzjastycznych okrzyków ludu i skierowała się pod baldachimem do pałacu Kremlu. Za Jej Cesarską Mością szły damy Dworu, wszystkie w jednakowych aksamitnych i jedwabnych malinowych, złotem wyszywanych, sukniach rosyjskich, w różnokolorowych kokosznikach.

Najjaśniejsi Państwo wyszli z Soboru Uspięńskiego z przeciwnej strony i po pomostach, wzniesionych wokoło Iwana Wielkiego, skierowali się ku Soborowi Archangielskiemu. Na przedzie szedł pluton kawalergardów, następnie niesiono sztandary: najprzód grenadyerów pałacowych, a drugi państwowy. Przed samym baldachimem Najjaśniejszego Pana, który nieśli generał adjutanci z asystentami, szła rada państwa i ministrowie.

Po przybyciu do Soboru Archangielskiego Najjaśniejszych Państwa powitało duchowieństwo. Pokłoniwszy się grobom Przodków, Najjaśniejsi Państwo przeszli do Soboru Błagowieszczeńskiego, gdzie całowali obrazy świętych.

Wyszedłszy z Soboru Błagowieszczeńskiego Najjaśniejsi Państwo udali się na „Krasne Krylco.“ Stanawszy na najwyższym stopniu skłonili się ludowi, który niemilknięciami entuzjastycznymi okrzykami witał Najjaśniejszych Państwa.

Wysoce uroczystą była zwłaszcza ta chwila, kiedy naród ujrzał ukłony Monarchy. Pogoda prześliczna; ciepło. Niezwykły widok przedstawiały karety ambasadorów, kolejno przejeżdżające do pałacu.

## Druga wystawa higieniczna

W WARSZAWIE.

### II.

#### Całość wystawy, jej znaczenie i zakres.

Ubiegło już dwa tygodnie od powołania do życia wystawy higienicznej (od 16 maja) a tydzień od jej istnienia; rzeczywiście: dopiero przed tygodniem wystawa z grubszego wykończona została. Zarząd dokładał wszelkich sił, aby nie zrobić zawodu publiczności świętecznej i dopiął swego: plac wystawowy ożywił się tysiącami osób, przybyłych w pierwszy i drugi dzień Zielonych Świątek. Zwiedzano tedy pawilon główny, gdzie wystąpiły szpitale miejskie i prywatne, tudzież zdrojowiska i zakłady lecznicze (jak Nałęczów, Ciechocinek, Busk, Solec) a także zarządy dróg żelaznych (Warsz-Wied, Terepol., Petersbr., Nadwiśl., Dąbrow., Poleskie) ze wszelkimi szczegółami, mającymi łączność ze zdrowotnością podróży i służby kolejowej.

Tamże spotykamy: urząd lekarski m. Warszawy, zarząd okręgu wojskowego, m. Warszawy (zarząd wodociągów i kanalizacji, miejską fabrykę betonów, inspekcją gazową) jak niemniej wystawy sekcyjne oddziału fizyko-chemicznego, farmaceutycznego, budowlanego i statystycznego — obok wielu firm fabrycznych i przemysłowych jak Scheibler, Żyrardów (urządzenia sanitarne) Puls, Kropiwnicki, Gostyński, Chrzanowski, Wojciechów, Jodłowski, Wysocki i w. m.

Zwiedzano pawilon sekcji ludowej, gdzie mieszczą się ciekawe okazy muzeum etnograficznego, bazaru rzemieślniczego, komitetu damskiego opieki nad zwierzętami a także zbiory d-rów: Tchórznickiego, Dobrzyckiego, Wysokińskiego, pani Kleniewskiej i in. Zwiedzano ciekawé budynki, urządzone staraniem d-ra Tchórznickiego: rzeźnią małomiasteczkową, przy której mieści się sklep masarski Pomińskiego—tudzież łaźnią wiejską; jak niemniej pawilon natryskowy, w którym Wettler i Nassius urządził kąpiele, czynne za małą opłatą, tudzież rozmaite urządzenia techniczno-sanitarne. Ogólną ciekawość budził pawilon bakteryologiczny, jak również barak Döckera, gdzie się umieszczył komitet szpitalny. Publiczność z ciekawością dążyła na wieżę meteorologiczną—przy pawilonie gimnastycznym (w którym mieści się dział wychowawczy) tutaj

jednak zawód ją spotykał: rozmaite barografy, psychografy, ewaporometry, psychometry, heliografy, pluwiografy, pluwiometry, anemometry, anemoscypy—nie były jeszcze w porządku.

Znajdowała przecież zaspokojenie swej ciekawości (za osobną dopłatą) w dyoramie starej Warszawy tudzież w labiryncie lustrzanym Silberberga. Dyorama mieści się w charakterystycznym budynku na podobieństwo starego ratusza, w niej widzimy wielki obraz (według Canaletiego) przedstawiający Warszawę od strony Tamki: podnoszą się przy żywym bardzo kolorycie coraz wyżej zielone tarasy z budynkami, piętrzy się obecny Instytut muzyczny, dominują wieże kościoła Ś-go Krzyża, ciągną się mury Krakowskiego Przedmieścia—po nad którymi wystają wieże zamku królewskiego i kościołów dzielnicy staromiejskiej, gdzie się ogniskowało życie Warszawy,—całości obrazu dopełnia widok Wisły, pokrytej tratwami, galarami,—łodziami.

Napływ publiczności na wystawę w czasie Zielonych Świątek był tak duży, że zdobycie szklanki piwa połączone było z trudnościami; w mleczarni Henneberga zabrakło pożywienia.

Dziś stanowczo twierdzić można, że powodzenie wystawy zapewnione: publiczność warszawska, acz nie próżna filisterskich instynktów (jak publiczność każdego wielkiego miasta) potrafi ocenić to wszystko, co z wielkim trudem przygotowano: część jej pozna się niewątpliwie na naukowej stronie wystawy, na którą się złożyła praca kilkoletnia specjalistów miasta i kraju, innym przypadnie do gustu całość urządzenia, którą śmiało nazwać można europejską, innym zaś (a tych podobno będzie najwięcej) orkiestra, która pomimo to że krajowa, że dość doraźnie zorganizowana, uznaną została przez pierwszorzędnych muzyków za dobrą; świadczą o tem zresztą liczne zastępy publiczności, słuchające koncertów odbywających się od godz. 6 do 10.

Przeciętny Warszawianin, wybierający się po obiedzie na wystawę zyskuje połowę ceny: gdy bowiem zwiedzi wystawę, a potem wysłucha koncertu, wypadnie mu jedno i drugie po 15 kcp.; nie mówimy tego żartem, chociaż dodać musimy, że jednocześnie zwiedzenie wystawy nie wystarczy. Trzeba sobie zadać pytanie, po co idziemy. Dla ogólnego pojęcia, dla przyjemności, dla popróbowania pokarmów i napojów, czy też dla zagłębienia się w tym lub innym dziale naukowym czy przemysłowym. Właśnie o tych działach chcemy słów parę powiedzieć, co da się łatwiej uczynić łącznie z krótką historią wystawy.

Pierwsza wystawa higieniczna odbyła się w Warszawie (na placu Ujazdowskim) w r. 1887. Pod groźbą nawiedzającej nas przez lat kilka epidemii

hygiena, publiczna zwłaszcza, postąpić musiała; jeżeli po wsiach i miasteczkach postęp bardzo mały lub żaden, to w większych miastach stał się on widocznym. Warszawa, dokonywając ogromnego a kosztownego dzieła kanalizacji, zaprowadzając ulepszenia sanitarne, nie dała się wyprzedzić innym wielkim miastom Europy. Zrobiono u nas tyle, że śmiało można było wystąpić z okazaniem postępu. Redakcyja „Zdrowia“ w osobie redaktora Polaka podała projekt urządzenia drugiej wystawy higienicznej, ufna, że ta inicjatywa, podobnie jak inicjatywa pierwszej wystawy przyjęta, będzie z ogólnem uznaniem.—Jakoż wystawa w lot zdecydowaną została. Śnać potrzeba zmanifestowania naszej pracy w kierunku zdrowotności leżała w poczuciu ogółu, skoro projekt wystawy z zapalem został przyjęty. Bez względu na warunki materialne, na brak placu odpowiedniego szybko znalazł się zastęp ludzi z rozmaitych specjalności, kierunków i warstw społecznych, którzy sprawę żywo do serca wzięli. Uczeń, lekarze, higienisci, inżynierowie, budowniczy, pedagodzy, artyści, przemysłowcy, fabrykanci, rzemieślnicy podali sobie ręce w interesie zdrowia powszechnego. Dwa lata czasu poświęcono na prace przygotowawcze.

Zarząd przyszłej wystawy pod przewodnictwem prezesa prof. Wł. Brodowskiego i wice-prezesów: Grotowskiego, Mościckiego, Przewoskiego, Troickiego, i czynnego sekretarza Polaka zakrzętnął się żywo około spraw materialnych. Na pierwszym posiedzeniu nie było funduszu na papier i marki pocztowe,—nie zraziło to przecież ludzi młodych, zdrowych duchem choć posiwiiałych: złożyli się po kilka rubli na pierwsze potrzeby. Co więcej: nie udano się o pomoc lub protekcję do żadnej potęgi finansowej—oparto się na samopomoc; co więcej: zdecydowano charakter wystawy naukowo-dydaktyczny t. j. pouczający publiczność, ku czemu potrzeba było wezwać licznych referentów, prace im polecić i fundusze na przygotowanie okazów zapewnić. Jakoż powołano liczne grono ludzi fachowych do następujących 11-u komitetów:

1) fizyko-chemiczny (Hołowiński, Neneki, Pruszyński i in.)

2) bakteryologiczny (Przewoski, Jakowski, Palmirski i in.)

3) budowlany (Goebel, Rakiewicz, Ciechocki, Rudnicki, Sokal, Goldberg i in.)

4) wychowawczy (Krzechkowski, Rycerski, Mikłaszewski i in.) z podkomisjami: a) *pediatryczną* (Sikorski, Malinowski, Tchórznicki, Anders i in.) b) *redakcyjną* (Kosmowski, Ołtuszewski, Szyrówna i in.)

5) szpitalny (Rothe, Zyg. Kramsztyk, Hewelke i in.)

przemysłowy w dwóch sekcjach: a) kolejowej



(Kozłowski, Lasocki, Rembelski) b) *fabryczna* (Niedźwiedzki, Handke, Ciecchowski)  
6) *ludowy* (Dobrzycki, Tehórnicki i in.)  
7) *statystyczno - meteorologiczny* (Załęski, Kwietniewski, Wróblewski, Ciemniowski i in.)  
*farmaceutyczny* (Hubert, Bukowski, Majewski i in.)  
*dekoracyjny* (Gerson, Alchimowicz, Piątkowski, Wojdyga, Zmurko, Jasiński, Ryszkiewicz i in.)  
*muzyczny* (Müncheimer, Maszyński, Noskowski, Stattler.)

Komitety te, przyzywając do porady różnych specjalistów, jeły się pracy energicznie, — dość powiedzieć, że na posiedzenia przyjeżdżali lekarze umyślnie z dalekiej prowincyi. Wiele energii okazano w Komitecie ludowym, w którym zajęto się bardzo starannie higieną wsi i miasteczek, — jestto nowość, której na przeszłej wystawie nie było. Z przyjemnością zaznaczamy, że w pracach wystawy brały udział skuteczny kobiety i tak:

Panie: Marrenowa, Tomaszewicz-Dobrska, Kuczalska, Szcycówna, Weryhówna, Rudzka, Kellerrówna, Nowicka w dziale wychowawczym; Kleniewska (z Kluczkowic) Gebethnerówna, Mierzynska, Sikorska, Zaleska i in. w dziale ludowym i odzieży higienicznej.

Prace nad przysłą wystawą zyskały żywe poparcie władz administracyjnych i municypalnych. Magistrat poniósł do 40 000 rubli kosztu na urządzenie ogrodu miejskiego na pomieszczenie wystawy, na budynek w tym ogrodzie (koszt 5,000 rs.) na roboty plantacyjne, ogrodnicze, wodociągi, kanalizacyę, bruki i na kiosk kanalizacyi na wystawie. Rycerski wystawił pawilon gimnastyczny z ofiar wielu osób i członków przysłego towarzystwa gimnastycznego.

Tak więc powstała wystawa dzięki pracy osób inteligentnych, ofiarności osób zamożniejszych, zaufaniu przemysłowców i rzemieślników, którzy nie żądali gwarancyi ani zaliczek na rozpoczęte roboty. Idźcie i oglądajcie.

Przysłe nasze sprawozdanie poświęcimy opisowi działu wychowawczego; tymczasem zapraszamy młodzież na boisko gimnastyczne (obok pawilonu gimnastycznego, przed altaną Towarzystwa Wioślarskiego) we wtorki i soboty około 7-ej, gdzie urządzają się w tym czasie zabawy ruchowe; zawiadamiamy również, że w pokoju zabaw dzieci odbywają się zajęcia w poniedziałki środy i piątki od 11 do 1 jak niemniej, że zorganizowano już dyżury z osób kompetentnych, udzielających objaśnień publiczności.

W. N.

## FRAGMENT.

Tęsknię za tobą, chociaż przez ciebie,  
Tyle nademną przewiało burz,  
Że ciąglą walką znużone serce  
W bólu się zdaje zamierać już.

Skrzydłami ducha z tobą złączona,  
Pragnęłam lecieć w jaśniejszy świat,  
Gdzie echo ziemskich gwarów nie sięga,  
Gdzie nie przekwita miłości kwiat.

Pragnęłam w wrażeń bezsprzecznych chórze,  
Z tobą jak z duchem pokrewnym żyć,  
Przy dźwiękach twojej natchnionej lutni,  
Snuć dyamentowych miraży nić.

Niestety, wiara zawiodła srodze.  
Tyś nie ten anioł co w moje sny,  
Wplatał się zawsze z gwiazdą u czoła,  
Szlak dróg błękitnych wskazując mi.

Jak wandal dziki przez moje życie  
Przeszedłeś niszcząc ostatnią z złud,  
Dziś w dalszą drogę pójde samotna,  
Ale smutniejsza niż byłam wprzód.

Bo wiem, że pójdą za moim śladem  
Wspomnienia z tobą spędzonych dni,  
Bo wiem, że z rzes mych nie oschną nigdy  
Tęsknoty iży.

Marya Chluska.

## JOANNA AMBROSIUS.

Duch tehnie gdzie chce, a przykładem tego są dzieje kobiety wiejskiej, której nazwisko zasłynęło przeciw w całym jej społeczeństwie jako poe'ki szlachetnie podniosłej wyobraźni, szlachetnie podniosłego uczucia. Urodzona w 1854 r. w małej wiosce na pograniczu Prus Wschodnich pod strzechą chaty wieśniaczej, przeżyła lata dzieciinne tak jak ogólnie te dzieci wiejskie, których rodzice pracując ciężko od wschodu do zachodu słońca na kawałek chleba, nie mają czasu zajmować się niemi, kształcąc je jedynie przykładem własnym do życia i jego obowiązków. Lecz wioska posiadała szkołę, dziewczątka nauczyło się też czytać i pisać a wraz z tem co jej rozbudzało w umyśle pierwsze pojęcie o istnieniu człowieka przyszło i to samorodne pojęcie piękna, wielość w takie zamiłowanie natury, że dziecinka niewielka już się wykradała z chaty aby zrywać kwiatki, patrzeć na ptaszki i radować się widokiem przestrzeni szerokiej, przekładając to na wszelkie inne zabawy z rodzeństwem, a nie leniąc się zarazem do pracy, na jaką siły jej stać mogły.

Ale choroba matki rzuciła nagle całun żałoby na to spokojnie szczęśliwe istnienie. Przerwało się uczęszczanie dziewczątka do szkoły, ale posiadała już klucz do czarodziejskiej skarbnicy wiedzy, umiała czytać, pisać i wraz ze starszą siostrą Martą, zaczęła pracować, a gdy tamta wyszła za mąż, ona stanęła u domowego ogniska jako jego naczelniczka, lecz w parę lat potem i jej serce uderzyło goręcej w łonie. Kochana pokochała i mając lat dwadzieścia wyszła za mąż, za rolnika, który tak jak jej ojciec rosł gorącym znojem czoła płon pracy swojej.

Ona stała mu mężnie do pomocy; na pociechę a razem i troskę Bóg jej dał dwoje dzieciątek, aż naraz spadła szczęśliwie na jej męża jakaś sukcesyjka po dalekim krewniaku, dokupiono kawałek żywej ziemi i szczęście uśmiechało się do niej, bo nawet choroba, która ją trzymała czas jakiś w łóżku, stała się dla niej łaską losu. Leżąc samotna gdy mąż musiał być gdzieś w polu u pracy, czytała tygodnik bardzo rozpowszechniony w Niemczech całych, bo tani a zawierający treść rozumnie, starannie dobraną, Gartenlaube, zasmakowała też w czytaniu więcej niż kiedykolwiek i było to dobrym nabytkiem dla jej życia, bo kto polubi książkę nigdy się samotnym nie czuje. Idealne fikcyjne stają mu się niemal żywymi istnieniami ludzkiego obrazami i Joanna dzieląc tak życie na dwie połowy, poezją krasila sobie prozę a umysł jej obejmując coraz to szersze istnienia ludzkiego horyzonty, podnosił ją nad te drobne zawody i troski, które oblegają ludzi z nizkiego punktu zapatrywających się na życie.

Ale to życie nie może być wciąż poematem, jak mówi nasz poeta. W 1890 r. uległa ona grasującej a nowej, nieznaney nam dotąd chorobie, influenza zmusiła ją położyć się w łóżko i wśród długich, samotnie przepędzanych godzin zaczęła tworzyć najpierw drobne poezye, potem poematy, kreślone ukradkiem i tylko młodszej siostrze swojej, Marcie, która przybyła aby ją pielęgnować, powierzyła te utwory, które przeciw uderzyły czytającą wdziękem słowa i szlachetnością myśli. Wiele jeden z pomiędzy nich posłała ukradkiem do druku, a gdy odrzuconym nie został i inne ukazały się już z wiedzą autorki i jej podpisem, zaczęto się zajmować nieznaną poetką, a wydawca pisma, które je mieściło, dobadawszy się smutnych okoliczności w których żyć musiała, zapragnął jej przyjść z pomocą, to jest otworzył jej pole pracy twórczej.

Wydanie wszystkich jej poezyi, które mu powierzyła nietylko rozniosło szeroko jej nazwisko, ale

zainteresowano się tą wieśniaczką tworzącą je wśród prostych zajęć gospodyni i pracującą w ten sposób na chleb powszedni. Cesarz Wilhelm urządził w pałacu swoim koncert na jej korzyść, który przyniósł znaczną sumę pieniędzy a obok tego chciał jej zbudować własnym kosztem piękną kamienicę w Berlinie, gdzie mogła by żyć i tworzyć spokojnie, bez troski o jutro, bez tych drobnych niby braków, które przecież stają się ostremi kamieniami na drodze naszego istnienia.

Ale ona, podziękowawszy gorącemi słowami wdzięczności nie przyjęła ofiary, bo kochała swój kącik rodzinny, kochała to życie na łonie natury, której piękno rozbudziło jej w piersi poczucie poezyi i nie chciała zamienić na żadną kamienicę miejską swej chaty rodzinnej, ocienionej starą lipą, na której każdą wiosną bociany słały gniazdo, której szemrzące liście przemawiały do niej o Bogu i ludzkości, jak to wyraziła w liście pisanym do cesarza dodając, że na wsi czuje się bliżej nieba, którego jej nie zasłaniają mury. I cicho, spokojnie dzieli swój czas między obowiązkową pracą na chleb dla rodziny a twórczością poetyczną, która przez to bynajmniej nie cierpi, bo zadowolona w sobie i słodko szczęśliwa przyjmuje bez skarg i żalów położenie swoje, które umiała ubogacić sobie własnego ducha skarbami.

M. I.

## KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Jej wytworną naturę brutalne zachowanie się Szelażyńskiej zraniło dotkliwie. Ta ordynarna kobieta zmusza ją, by w obecności córek wykazała całą nieprzystojność jej znalezienia się.

Z nakazującą powagą dotknęła lekko ręki Szelażyńskiej.

— Zmuszoną jestem przypomnieć pani, że tu nie miejsce ani pora na podobną rozmowę, — odezwała się ledwo hamując oburzenie. — Pani zapomina zupełnie o panowaniu nad sobą. Proszę do salonu. Za chwilę służyc jej będą.

Spojrzała na zegarek i zwracając się do nauczycielki gimnastyki rzekła:

— Za kwadrans lekcyja będzie skończona. Czas pogodny, panienki mogą biegać i bawić się w parku całą godzinę.

Uśmiechnęła się do dziewcząt, pogładziła delikatną twarzączkę Toni Dobrzyńskiekiej tulając się do niej z miłością i zapraszającym ruchem wskazała drogę do salonu strapionej nieco damie.

Spokój i zimna krew młodej panny zaimponowały niedelikatnej kobiecie.

— Niech mi pani daruje, jeżeli się trochę uniosła, — odezwała się siadając, — ale matką jestem i dobro dzieci przede wszystkim muszę mieć na celu. Pozwoliłam wprawdzie na te chemie, fizyki i t. p. skoro inaczej być nie mogło, przekonany jestem jednak własnymi oczyma, że Klimunia i Laurka prawdę opowiadają...

Amelka spojrzała na nią wyniośle.

— Cóż takiego opowiadają? — spytała.

— Nie tylko one, proszę pani. I w okolicy dużo o tem mówią. Przecież we wszystkim potrzebna jest jakaś miara, choćby i w tem świeżem powietrzu. Nie mówię, aby panienki nie wychodziły na spacer, ale tu słyszę i wykłady niektóre odbywają się w parku i lekcyj zadanych uczą się na dworze... To tylko śmiech ludzki wzbudza...

— Dlatego też zakład nasz leniwych i nieuków nie posiada wcale i mam nadzieję, że zawsze tak będzie, — odezwała się spokojnie Amelia.

Ale pani Szelażyńska nie dała się przekonać.



— Słyszane rzeczy — ciągnęła dalej kręcąc głową, — żeby uczennice traciły czas drogi na nabycie talentów i języków przeznaczony, spacerując godzinami całymi po lasach i polach?

— Upewniam panią, że każda chwila jest z korzyścią dla nich użytkowana — przerwała żywo Amelia. — I to podwójną. Zaznajamiają się bowiem podczas tych spacerów z naukami przyrodniczymi, a jednocześnie hartują zdrowie, rozwijają muskuły przebywając większą część dnia na świeżym powietrzu.

— Śliczna korzyść! — zawołała drwiąco właścicielka Górek. — Po kilku latach takiej nowomodnej edukacji, panny raczej do kuchni czeladnej a nie do salonu będą zdadne. Cera zgrubieje, noga i ręka straci formę, figura rozrośnie się jak u dziewczki folwarcznej, bo jeszcze do wszystkiego, pani nie pozwala gorsetów nosić.

Amelia z trudnością powstrzymała uśmiech.

— Istotnie — odparła. — Jestem wielką nieprzyjaciółką gorsetów w ogóle, a szczególnie dla młodych panien, których kościom i mięśniom trzeba zupełną zostawić swobodę. Czy na niektórych wychowankach moich z miasta przybyłych, nie znać już dobroczynnego wpływu ciągłego przebywania na świeżym powietrzu?

Pani Szelażyńska wzruszyła ramionami z niechęcią.

— Dziękuję. Wolę żeby moje córki miały wciętą figurę i delikatną cerę arystokratycznych panien, niżeli wiejskie rumieńce i rozrośnięte plecy. Hrabianka Mila łokeia objętości w pasie nie trzyma, a cerę ma tak przezroczytą...

— Jak gdyby kropliczki zdrowej w sobie nie miała, — przerwała śmiejąc się Amelia.

— Wymyśli, uprzedzenia! — odparła z przekonaniem pani Szelażyńska. — Hrabiance Mili nie przeszkadza to jednak zrobić świetną partję. Słyszałaś pani zapewne, że za księcia Juljusza wychodzi.

Amelia zamysliła się.

Czy warto dysputować z tą krótkowidzącą kobietą, kiedy przekonać ją jest zupełnym niepodobieństwem.

W tej sferze zacieśnionych pojęć trzebaby oddziaływać na dwa z rzędu pokolenia co najmniej, by wreszcie zwycięstwo nowej jakiejś idei zapewnić.

Pod wpływem tych myśli odezwała się stanowczo:

— Z tego co pani mówi, widzę, że najlepiej będzie jeżeli pani poszuka dla swych córek innego zakładu naukowego.

Właścicielka Górek zmieszała się.

Nie miała zamiaru odbierać zaraz córek. Oboje z mężem wybierali się nazajutrz do Lwowa w sprawie sukcesji po zmarłym jej wuju, coby więc dziewczęta w domu przez ten czas robiły.

Rzekła więc pojednawczo:

— No, no! śpieszyć się nie ma potrzeby. Ja mam taką naturę, że nie robię bez dłuższego namysłu. A przytem, wyjeżdżamy jutro oboje na parę tygodni. Przyjechałam właśnie zabrać dzieci aby pożegnały się z ojcem.

Wkrótce potem pani z Pękalskich Szelażyńska odjechała z mocnym postanowieniem, gdy tylko pora będzie po temu, przenieść córki do innego pensjonatu.

Gdy w niedzielę dziewczęta powróciły z Górek, Amelia obchodząc wieczorem sypialnię pensjonarek zauważyła, że Henrysia ma twarz niezwykle rozradowaną i oddech przyspieszony.

— Co ci jest, Henrysiu? — spytała zatrwożona.

— Głowa boli mnie bardzo — szepnęło dziecko — i tak mi zimno...

Wybuch ostrego, suchego kaszlu przerwał jej mowę.

Amelia zadzwoniła.

— Poproś starszej pani, — powiedziała do wchodzącej pokojówki.

— Kochana mamó, — zwróciła się do matki Amelia — Henrysia zasłabła nagle. Dreszcze ma, gorączkę i kaszel gwałtowny...

— Zażębiła się prawdopodobnie — odparła pani Helena przysłuchując się z uwagą oddechowi chorej.

— Przecież zupełnie zdrowa wyjeżdżała... — zauważyła Amelia.

Klimunia uniosła głowę od poduszki.

— Przejadła się lodami — mruknęła.

— Lody w tej porze? Co ty mówisz, Klimuniu? — spytała Amelia zdumiona.

— A tak, proszę pani. Mama zawsze kucharzowi lody robić każe gdy przyjeżdżamy do domu. Henrysia i Laurka przepadają za niemi.

— Opowiedz-że mi wszystko coście dzisiaj robili u rodziców, Klimuniu — ozwała się pani Helena, którą wzmianka o lodach naprowadziła na domysł, czy nie tu szukać należy przyczyny zaziębienia.

— To co i zawsze proszę pani — odparła dziewczynka. — Mama pozwala robić co nam się podoba, bo mówi zawsze do papy, że dość przymusu mamy na pensyi.

— Proszę cię, odpowiedz wprost na moje pytanie, — z upomnieniem wyrzekła pani Helena.

— Czy ja wiem, co Henrysia robiła? — odparła krnąbrnie dziewczynka, rada, że nie potrzebuje się kłopotować skoro jej matka ztąd zabiera.

— Ja nie złego nie zrobiłam, proszę pani — odezwała się słabym głosem Henrysia. — Biegałyśmy z Laurką po dziedzińcu i zmęczyłam się bardzo... Pić mi się chciało, więc zjadłam dużo lodów...

Pani Helena spojrzała porozumiewawczo na Amelię.

— Nie należało jeść lodów skoro byłaś mocno rozgrzana, — zauważyła gładząc twarzyczkę dziecka. — A jeszcze dużo, jak mówisz... Cóż ci dolega najwięcej, kochanko?

Ale Henrysia z boleśnie skrzywioną buzią ukryła głowę w poduszce.

Wkrótce potem wezwany posłańcem nadjecha Dembiński.

Przy badaniu chorej twarz mu się zasepiła.

— Mamy do czynienia z dość ciężkim wypadkiem, — rzekł do pani Heleny. Gwałtowne zapalenie płuc w połączeniu z zapaleniem kiszek. Dziwi mnie to, bo wiem przecie jak baczną na wszelkie higieniczne warunki zwracają panie uwagę. Tak skomplikowana choroba nasawa myśl jakiegoś nadżycia.

— Istotnie — odparła Amelia zgnębiona, — Henrysia była u rodziców przez dzień dzisiejszy i przyznała się nam, że będąc bardzo rozgrzana zjadła dużo lodów.

— Otóż i przyczyna choroby — rzekł Dembiński. Jęk chorej przywołał go powtórnie do jej łóżeczka.

Dziecko leżało wyprężone z zaciśniętymi dłońmi, wijąc się z bólu.

— Zostanę do rana przy chorej — odezwał się do Amelii pisząc pośpiesznie receptę. — Choroba wymaga bardzo energicznego ratunku. Najlepiej będzie jeżeli panie zawiadomią rodziców. Dziecko jest wątłe... Nie mogę ręczyć, czy organizm wytrzyma ten podwójny atak... Tylko niech pani nie przeraża się zbyt — dodał, patrząc ze współczuciem na pobladłą twarz Amelii. — Będziemy walczyć do ostatka

Przeniesiono dziewczynkę do pokoju przeznaczego dla chorych i wysłano umyślnego do Górek.

Spóźnił się jednak. Na parę godzin przedtem państwo Szelażyńscy wyjechali.

Amelia zatrwożona zwróciła się do Dembińskiego.

— Co teraz pocniemy? — pytała. — Państwo Szelażyńscy wybrali się do Lwowa.

— Skoro będę widział potrzebę, zawiadomimy ich depezą — uspokoił ją Dembiński.

W trzy dni potem choroba tak groźne przybrała rozmiary, że nie wahanono się ani chwili zawezwać rodziców a jednocześnie zatelegrafowano do Warszawy po lekarza, bo Dembiński znając panią Szelażyńską nie chciał odpowiedzialności brać na siebie.

Amelia zdawszy na Cecylię zwykłe swoje zajęcia, dniem i nocą wespół z matką czuwała przy łóżku chorej. Strapione były obiady, chociaż wzajemnie przed sobą ukryły to usiłowały.

— Ach mamó, — wybuchnęła wreszcie zgnębiona Amelia — jak ja się lękam... Co za straszna odpowiedzialność przed własnym sumieniem i rodzicami, chociażby się najgłębiej czuło że winy naszej w tem niema.

Pani Helena milezała.

Wiedziała już od lekarzy że stracili nadzieję uratowania chorej i cierpiała nad tem podwójnie.

Jako matka odczuwała boleść tamtej, której śmierć wydrze wkrótce ukochane dziecko, a jednocześnie znając naturę ludzką w ogóle i charakter Szelażyńskiej, ludzić się nie mogła że smutny ten wypadek wyrzecz może wpływ fatalny na losy pensjonatu nie mającego jeszcze ustalonej firmy.

Wieczorem tegoż dnia nadjechali Szelażyńscy.

Rozpacz jej samej jakkolwiek zupełnie szczera, ujawniła wszystkie ujemne strony tej grubej natury.

Bezstronność sądu, miłość prawdy a nawet właściwe kobietom poczucie delikatności, w przystępie uniesienia opuszczały ją zupełnie.

— Zabiliście mi dziecko — krzyczała wśród spazmatycznych łkań do bladej jak mara Amelii. — Przeczuwało moje macierzyńskie serce na czem się skończą te hartowania dziewcząt, prysznic i t. p. głupstwa. O moja Henrysiu, moje najukochańsze dziecko! — wołała, rzucając się na kolana przy łóżku chorej. — Zgubili cię, zgubili.

Dembiński ujął ją mocno za ramię.

— Pani dobijasz chorą — rzekł szorstko. — Spokój bezwzględnie jej potrzebny. Mylisz się pani zresztą przypisując winę komukolwiek. Chorobę wywołało nadmierne użycie lodów w chwili mocnego rozgrzania.

Szelażyńska rzuciła się jak lwica.

— Co? Więc na mnie chcą zwalić winę za własny niedozór, za szaleństwa które się tu na każdym kroku popełniają w wychowaniu powierzonych dziewcząt. Al to okropne, to oburzające! Henrysia zawsze jadła lody i nigdy jej nie zaszkodziły — dodała z uporem.

Dembiński zwrócił się do Szelażyńskiego który z twarzą w dłoniach ukrytą siedział przy łóżku.

— Może pan wpłynie na żonę by zachowała się spokojnie lub opuściła pokój... — prosił zniecierpliwiony.

Ale i przedstawienia męża nie odniosły żadnego skutku.

— Nie ruszę się ztąd — powtarzała z uporem Szelażyńska. — Sama będę doglądać mojego dziecka. Dość mam tej płatnej opieki.

Oburzony Dembiński wyprowadził płaczącą Amelię do pokoju matki.

— Nic tam już pani nie pomoże... — mówił serdecznie — a po co narażać się na słuchanie niesprawiedliwych wyrzutów. — Żal mi tego biedactwa które śmiercią za nierozwagę matki zapłaci — zwrócił się do zmartwionej pani Heleny. — Dla boleści pani Szelażyńskiej jednak, okazywanej w tak oburzający sposób na współczucie złobyć się nie mogę.

— Pani Szelażyńska wszelkimi siłami będzie się starała szkodzić naszemu pensjonatowi — odezwała się mileząca dotąd Cecylia.

— To niewątpliwie! — przywtórzył Dembiński. — Lecz nadzieja w Bogu, że wytrwałość pań zniweeczy powoli jej wpływ szkodliwy.

Pokojówka Różia wpadła do pokoju.

— Proszę pana doktora — zawołała zdyszana — panienka oczy w słup postawiła i. —

Dembiński nie dosłuchawszy końca wybiegł z pokoju.

W kilka godzin potem sypialnię Henrysi zaległa cisza.

Przez otwarte okna wpadał wiatr jesienny, igrając z żółtymi płomykami świec palących się przy zwłokach zmarłej dziewczynki.

Z dalszych pokojów dochodziły tutaj wybuchy głośniejszej rozpaczających rodziców.

## VII.

W zarzekim pałacu przy wigilijnej wieczery zebrała się niewielka garstka osób.

Pani Krasnohorska od śmierci męża ograniczyła ściśle swoje stosunki. Ludzie zresztą nie zwykli towarzyszyć nieszczęściu; usuwają się sami.

Doktor Dembiński z matką i hrabią Brunon stanowili wyjątek.

Obecność ich nie rozproszyła jednak posępnej chmury na czole pani Heleny ani smutku widniejącego w oczach Amelii.



W tym dniu tak uroczystym, pełnym wspomnień, brakło dwóch osób które przecież obecne były zawsze myślom pozostałych kobiet.

Pani Helena wśród zajęć przedświątecznych broniła się tęsknocie, teraz wszakże gdy przyszło przełamać opłatek, łyż z trudem powstrzymywane polały się z jej oczu.

Dostrzegła je Dembińska i uwagę obecnych starała się od niej odwrócić, wiedząc z doświadczenia że w chwilach takich wszelkie słowa pociechy do nowego tylko doprowadzają wybuchu.

Przyszło jej to z łatwością.

Każda z zebranych osób zbyt żywo sobą była zajęta.

Dembiński przeniósł się myślą do Paryża, Brunon ścigał oczyma Amelię, Brunona nie nie przewidywała Cesia.

Ona jedna wydawała się szczęśliwą i wyglądała wecale miłutko z rumieńcami wybiegającymi na twarz co chwila, wzrokiem błyszczącym i uśmiechnionymi ustami.

Widocznem było, że dziś szczególniej podobać się pragnie i zastosowała do tego nie tylko wyraz twarzy ale i ubiór gustowny.

Perłowego koloru korek granatowym aksamitem przybrany odbijał wdzięcznie od jej delikatnej cery i ciemnych warkoczy spuszczonej z prostotą na ramiona.

Nadawało jej to pozór młodziuchnej dziewczki. Zresztą bywają rzadkie chwile, gdy na twarz najbrzydszą nawet pada odblask wewnętrzznego rozradowania i upieknia ją.

Ten jednak, który wywołał tę zmianę nie zauważył jej wecale. Brunon pochłaniał wzrokiem Amelię, a twarz pobladała i smutek w ślicznych oczach tej droższą mu ją czyniły.

— Jaki dziwny urok wywiera na mnie ta dziewczyna—powtarzał sobie po wielekroć zdumiony.—Potrafiła tak przeistoczyć mnie całego że sam siebie nie poznaję. Czy też ona domyśla się, że to ta poczciwa miłość dla niej uczyniła ze mnie człowieka.

Heż walk przenieść, ilu przekonani i przyzwyczajeni wkorzenionych głęboko pozbyć się potrzebował, nim zgrzył, zdusił w sobie dawne przesady i pojęcia.

Podczas pierwszych miesięcy nowego życia gdy z piórem w ręce sprawdzał kolumny cyfr w kantorze, lub słuchał rozkazów swego pryncypała, porównała go nieraz szalona ochłota rzucić wszystko i uciec jak najdalej od tych ksiąg, zapyłonych i ludzi mówiących zawsze tylko o interesie. Lecz w wyobraźni zjawiała się wtedy postać Amelii pełna energii i siły i ujarzmiła buntującego się ducha. Zwyciężył wreszcie i oto teraz wolno mu stanąć przed ukochaną z czołem podniesionem i zapytać, czy zechce podzielić z nim życie.

Upajał się jej widokiem stęskniony długą rozłąką i szczęśliwy, że zwykle chłodna Amelia wyjątkowo jest dziś dla niego uprzejmą.

Nie wiedział, że zmianę tę, wywołało w jej myśli przypomnienie sporu ongi między nią a Janią wynikłego.

„Wyrwa, czy nie wyrwa?...“ — sprzeczały się wtedy obiedwie. Brunon nie zawiódł jej wiary. Była mu za to wdzięczną.

Brunon z niecierpliwością oczekiwał końca wigilijnej wieczery.

Gdy przejdą do salonu, łatwiej może znajdzie sposobność stanowczem pytaniem zakończyć mękę niepewności.

Cecylia siedząc przy stole naprzeciw Brunona obserwowała go bacznie.

Zauważyła jego roztargnienie i wzrok uparcie w stronę Amelii zwrócony.

Jak on na nią patrzy!

Uczuła naraz że całą jej istotę bierze w posiadanie trwoga beżmierna. Na nią, na Cesię, nie patrzył tak nigdy.

Jak błyskawica rozdziera ciemność, tak nagły błysk prawdy rozświetlił jej umysł.

Pamięć odtwarzać zaczęła szereg cały drobnych faktów, które dotąd uchodziły jej uwagi, a dziś przekonywały ją, jak mylnie tłumaczyła sobie uprzejmą grzeczność i życzliwość Brunona. Piękność Amelii nie uderzała dotąd przywykłego do niej oka Cecylii, lecz teraz zdawała jej się, że tę twarz śliczną widzi po raz pierwszy. Jakże była śmieszna przypuszczając, że w obec takiego wspaniałego kwiatu

znajdzie się mężczyzna, zdolny zwrócić uwagę na wątłą, nikłą jak ona roślinę.

Uczuła nienawiść do samej siebie.

Chmura myśli posepnych zgasiła rumieńce i blask oczu, gorycz zacisnęła usta cierpkim wyrazem.

Jakże brzydka, zestarzała stała się w jednej chwili...

Nawet Dembiński którego spojrzenie padło przypadkiem na Cecylię, zadziwił się tej zmianie.

— Co pani jest, panno Cecyljo?—spytał troskliwie.—Przed chwilą jeszcze wyglądała pani tak zdrowo i świeżo...

Cecylia spuściła oczy zmieszana.

— Nic mi nie jest...—odparła z przymusem, nie rada ze zwrócenia na siebie uwagi.

Słowa Dembińskiego sprawiły że i Brunon spojrział na Cesię. Mimo oczu spuszczonej odczuła to natychmiast.

Dotąd spojrzenie jego każde, najwyższem napełniało ją szczęściem, teraz lęka się go, bo z konieczności nasuwa porównanie z Amelią.

Amelia zatrwożyła się o swoje „dzieciatko.“

— Może przejdziemy do salonu, mateczko?—szepnęła pani Helenie.—Tu trochę za gorąco... Prawdopodobnie i dziewczęta nasze już się niecierpliwą czekając gwiazdki.

Ujęła Cesię pod ramię.

— Musimy opuścić państwa na chwilę — wyrzekła, całując rękę Dembińskiej.—Mamy jeszcze pewien miły obowiązek do spełnienia. Wychowawcy ochronki i dziewczęta ze wsi które wieczorami przychodzą na naukę robót, oczekują pewno z upragnieniem zapalenia choinki i rozdania małych upominków.

— A może i mnie raczą panie rolę jaką w tej uroczystości wyznaczyć?—spytał Brunon, nie chcąc stracić ani chwili obecności Amelii.—Czy nie mógłbym się paniom przydać na cośkolwiek?

— Wątpię bardzo...—odparła z uśmiechem Amelia. Obawiam się że w tem towarzystwie byłbyś pan de trop. I grono naszych wychowawców uczuło by się skępowane. Co najwyżej, odgrywał byś pan rolę wilka z bajki wśród spłoszonych owieczek. Śmiała się wesoło.

Cesia niemile dotknięta pociągnęła ją szybko.

— Pójdźmy! Tracimy czas na próżno.

Brunon jednakże od zamiaru swego nie odstąpił. — Będę się sprawiał cichutko jak trusia,—prosił z żartobliwą pokorą.—Nie pozbawiajcie mnie tylko panie obecności swojej...—dodał wychodząc za paniami.

W salonie starsze panie na kanapie zasiadły.

Na marmurowym kominku jedlina płonęła z trzaskiem siejąc złote iskry dokoła. Dembiński stanął przy oknie obejmując wzrokiem ośnieżone drzew szczyty, pola i jezioro białym puchem przykryte. Ze wsi dochodziły odgłosy szczekania psów, światła w chatkach wiejskich płonęły żywiej niż zwykle.

Oparł czoło o zimną szybę.

Niewysłowiona tęsknota do ukochanej ogarnęła go całego a on pozwolił jej zawładnąć sobą. Sprawiało mu to fizyczne niemal cierpienie, lecz nie chciał z niem walczyć. Czy też ona wspomina go w ten wieczór wigilijny?... myślał, błędnie spojrzeniem po wyiskrzonym mirjadami gwiazd szafirowem sklepieniu.

— Czy pamięta? — szeptał słodko wzruszony wspomnieniem tych ślicznych oczu, przez które kryształowa jej dusza przegląda.

Słowa dawno słyszanej piosenki przyszły mu na pamięć:

„Przyjść jeszcze musi czas

„Choć jeden szczęścia dzień...“

Tak. Musi przyjść dla niego dzień taki... Chwila na którą czekać mu przyjdzie długo może jeszcze, gdy ukochana dziewczyna wróci z własnej woli i powie mu, że chce na życie całe pozostać przy jego boku. Mimo wszystko co powiedziała przy rozstaniu, on wierzy, że chwila taka nadejdzie.

Odwrócił głowę od okna, słysząc imię Janiny przez panią Helenę wymówione.

— Spodziewałam się dziś listu od Jani... — mówiła z westchnieniem. — Nie mogę się otrząsnąć z przykrego wrażenia że w dniu dzisiejszym po raz pierwszy w życiu niema jej wpośród nas.

— Bardzo rozumiem troskę drogiej pani,—ozwała się serdecznie Dembińska.—Przechodziłam i ja

tęsknotę rozłąki. Podziwiam stałość umysłu Amelki, jej niezmaconą pogodę ducha... — mówiła starszka przerzucając umyślnie rozmowę na inny temat. — Odkąd ją znam jest zawsze jednakową; a przecież widziałam ją w chwilach gdy niejeden mężczyzna umysł wyszedłby z równowagi.

— To prawda, — potwierdziła pani Helena z odzieniem dumy macierzyńskiej. — Amelka jest wyjątkowo silną duchem. Równość jej usposobienia w domowym pożyciu, orzeźwiająco działa na otoczenie a przymiot ten kobiecie najwięcej potrzebny uważam.

— A najradszy niestety...—dodała Dembińska.

— Państwu zapewne wiadomo, — mówiła pani Helena,—że wskutek niepocząciwych gadanin pani Szelążyńskiej, kilku obywateli okolicznych odebrało z naszego pensjonatu swoje córki.

— Słyszeliśmy o tem... — rzekła z przykrością Dembińska.

— Amelkę boli ta niesprawiedliwość ludzka nad wszelki wyraz...—ciągnęła pani Helena, — jakkolwiek chcąc mnie oszczędzać, nie okazuje tego. Podobno i córki dyrektora cukrowni od Nowego Roku będą umieszczone gdzieindziej, — zwróciła się do Dembińskiego.

— Nic o tem nie wiem,—odparł. — On sam jest człowiekiem dość światłym, by ocenić jakie dobrodziejstwo wyświadczyłby córkom, powierzając je nadal kierunkowi panny Amelii, dla której żywi cześć prawdziwą. Lecz niestety, rządy w domu sprawuje pani dyrektorowa, osoba bardzo płytkiego umysłu, dla której wyrocznią jest wszystko, co orzece śmietankę towarzyska tutejszej okolicy.

Pani Helena pochyliła głowę w milczeniu.

— Odwieczna walka prawdy i fałszu—szepnęła po chwili.

— I światła z ciemnością... — dodał Dembiński. — Wierzę jednak niezachwianie w tryumf prawdy, która zresztą jest synonimem światła.

Pochylił się i ręce pani Heleny z uczuciem do ust przycisnął.

— Wytrwałości szanowna pani,—rzekł gorąco.—Jestem pewny zwycięstwa panny Amelii mimo wszystko, co ją teraz spotyka tak niezasłużenie. Pensjonat pań bez szkody poważnej na przyszłość przebędzie to pewnego rodzaju przesilenie, złością ludzką i zacofaniem pojęć wywołane.

— Co daj Boże!—dorzuciła Dembińska.

Podczas gdy rozmawiano w salonie, panny z Brunonem pracowały gorliwie.

Rankiem jeszcze dnia tego Hanusia Gwiazdzianka obecnie pierwsza uczennica w ochronie, dumna przypuszczeniem do tajemnicy i Józia pokojówka przeniosły z izby szkolnej do sieni ławki i tablice, wymiotły pięknie izbę, pospawawszy ją żółtym piaskiem i drobno strzyżoną jedliną.

Pośrodku ustawiono olbrzymią choinkę, której przystrojenie zabrało pannom kilka godzin czasu.

Na wielkim stole umieszczonym przy ścianie piętrzyły się stosy piernikowych lalek i koników, rumianych jabłek, piramidy pokrajanych na równe kawałki strucli. Obok leżały przeznaczone na upominki dla dziatwy książeczki, obrazki, szydełka, druty, kłębki bawełny kolorowej, włóczki i t. p. W sąsiedniej z ochroną izbie wrzało jak w ulu. Starsze dziewczęta z powagą poskramiały niecierpliwość młodszej dziatwy, nie mogącej się doczekać otwarcia tajemniczo zamkniętych drzwi izby szkolnej.

Panny wraz z Brunonem kończyły z pośpiechem zapalenie świeczek na choince, która wspaniale wyglądała cała w wieńcach i girlandach z bibułki kolorowej. Zmysł piękna wysoko rozwinięty w Amelii, każdej drobnostce z jej zręcznych palców wyszłej nadawał artystyczną cechę.

— Dziwna doprawdy ta Amelka,—myślała Cecylia patrząc na rozruminioną twarz Amelii i oczy błyszczące zadowoleniem.—Jak ją to wszystko żywo zajmuje. Zdaje się, że całą duszę wkłada w takie nudne zajęcia. Ach, gdyby ta ceremonia jak najprędzej się skończyła. Takby pragnęła znaleźć się w ciszy swego pokoiku, by zrzucić maskę kłamnego spokoju.

— Jesteśmy w porządku—odezwał się Brunon, zapalając ostatnią świeczkę. — Winna mi pani za dosyć uczynienie, panno Amelio, za wątpliwość co do mej użyteczności, bo oto zapaliłem własnoręcznie niezliczoną liczbę świeczek.



— Pańska chępliwość uwalnia mnie od tego, — odparła żartobliwie Amelia. — *Propria laus...* Znasz pan przysłowie, — dorzuciła z uśmiechem.

— Jaka pani złośliwa!

— Skoro wszystko gotowe, wyrzeknij pan słowa zaklęcia i wpuść tę niecierpliwą rzeszę oczekującą z upragnieniem otwarcia się Sezamu — mówiła Amelia.

Brunon ochotnie pośpieszył ku drzwiom. Byłby gotów spełniać najbłahsze posługi, byle mu pozwoliła być obok siebie.

— Bawią się jak dzieci, — pomyślała Cecylia rozgoryczona. — Jak im dobrze z sobą. On zapomniał że ja istnieję, patrząc w jej oczy.

Kilkadziesiąt przeżniętych jasnych główek wypełniło zalaną światłem izbę.

Dziatwa stanęła olśniona.

Szeroko otwarte usta i rozszerzone źrenice ujawniły wrażenie pierwszego zachwyty.

— Jezusieчку, jakie śliczności! — szeptała składając nabożnie rączki osmioletnia Marychna Kowalczanka. — Nikiej w kościele.

Michasia Jędrzejkówna pociągnęła starszą siostrę za spódnicę.

— Kasiu, patrz ino do góry... Anioł siedzi na chojaku. Musi żywy.

— Głupiaś, — odpowiedziała Kasia. — Toć malowany. Cóżes to nie widziała na ołtarzu? Takućki jako i ten...

— Widzita, — dziwił się mały Szymek Sobociak — jabłka na chojaku rosną. A jakie żółciuskie! Niby kurczątka kieć się ulegną.

— Nie baj ino, nie baj! Zaśby jabłka na chojaku rosły. Nie widzisz co przywiązane na śnureczkach — ofuknął go Walek Gwiazda, jeden z przedstawicieli inteligencji w tem gronie jako rozumiejący na książce.

Amelia skinęła na Hanusię i parę starszych dziewcząt.

— Powiedcie tym które mają śpiewać, aby poszły ku mnie.

Spełniły rozkaz natychmiast.

Ruch powstał w okół i szurganie nogami. Różnobarwny wianek dziewcząt otoczył Amelię.

Za chwilę, ze zdrowych piersi popłynęła wzniosłej prostoty pełna, kolenda.

„Witaj gwiazdko złota na niebios przestworze,

„Witaj nam radośnie Dzieciąteczko Boże.

„Wznies łask pełne dłonie nad głowy naszymi

„My ci zaśpiewamy po calutkiej ziemi.“

Śpiew płynął zgodnie i harmonijnie, budząc w piersi Brunona nieznaną dotąd wzruszenie. Piękny głos Amelii górował nad wszystkimi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Opera nasza wznosiła dzieło, które zawsze budzi zachwyt w zwolennikach muzyki pięknej, osnutej na tematach prawdziwie ludowych, odczuwanych przez słuchacza głęboko i serdecznie. W pierwszy dzień Zielonych Świątek na scenie teatru Wielkiego, po długiej przerwie, wystawiono ponownie z olbrzymim powodzeniem świetną operę Stanisława Moniuszki, p. t. „*Verbum nobile*.“ W dziele tem twórca wznosił się na najwyższy stopień swego natchnienia. W jeden akt ujęta sielanka oddycha cudną wonią prawdziwych kwiatów polnych, których barwa najzupełniej zapachowi odpowiada.

Po raz pierwszy opera ta wystawiona została w Warszawie w d. 1-ym Stycznia 1861 r., potężnie budząc w szerokich kołach publiczności naszej wrażenie. „*Verbum nobile*“ pokazało się utworem doskonałym i zasłużyło sobie na entuzjizm powszechny. Mógł o niem Moniuszko mówić, że „*Verbum nobile*“ jest jego najlepszym dziełem i mistrz się nie omylił.

Po latach trzydziestu pięciu, dzieło nie nie straciło, te same zachowując zalety i ten sam wdzięk artystyczny. Świeżość melodji i uczucie tryska ze wszystkich taktów partycyj, z solowych pieśni i zbiorowych ustępów. Technienie wsi polskiej zalutuje z tych śpiewów i pełnych prostoty w polocie, a przecież wysoce artystycznych.

Polonez „*Ci-panie*“ należy do pereł muzycznych, które będą zawsze treścią i formą zachwycać wszystkich; powitanie chóru na wstępie odznacza się pierwszorzędnymi zaletami; dumka Zosi chwyta za serce i ujmuje tklwym liryzmem. Szczegóły wszystkie mają swój charakter, swoje zacięcie i odrębną właściwość, które nadają dziełu piętno oryginalne.

Publiczność przyjęła „*Verbum nobile*“ z całym entuzjazmem, jaki zawsze dla wielkich utworów okazywać umie.

Artyści sprawili nam niespodziankę rzeczywistą: interpretacja ich dorównała zadaniu i mieliśmy istotną biesiadę artystyczną. Stanisława wykonał p. Grąbczewski, śpiewak dystyngowany i wiele utalentowany; cała partya dała artyście pole do wykazania obfitego zasobu uczucia i umiejętności wokalnej. Pełną wdzięku, prostoty i szczeroci była p. Przygodzka, której talent niejednokrotnie zaznaczał się na scenie. Ostatnim razem p. Przygodzka oczarowała śpiewem przesłicznym i doskonałym traktowaniem roli. Wybornym był p. Chodakowski, który zarówno jako artysta i jako reżyser zasłużył na najszczerzy okłask. P. Kawalski i Dyliński spisali się jak niemożna lepiej; chóry, orkiestra i wogóle cała opera pod dyrekcją p. Barcewicza — wszystko było bez zarzutu, wszystko dokładne i wysoce artystyczne.

Kiedy w operze ruch się pod koniec sezonu wzmógł niepomiernie, kończył się właśnie cykl koncertów nader w roku bieżącym obfitych. Na początku Maja z pożegnalnym koncertem wystąpiła „*Lutnia*“, ciesząca się wyjątkowymi względami Warszawy, na co w zupełności zasługuje. Dzięki udziałowi nowej orkiestry symfonicznej, usłyszeliśmy „*Rybkę*“ Moniuszki w instrumentacyjnym i chóralnym układzie Piotra Maszyńskiego. Cokolwiek można powiedzieć o samem dramatyzowaniu pieśni, opracowanie rzeczy jest przez utalentowanego dyrektora „*Lutni*“ tak dzielne i tyle w sobie zawiera zręczności, iż się utworowi temu należy bezwzględna pochwała.

W gmachu cyrkowym, wobec bardzo tłumnie zebranej publiczności, odbył się koncert kompozytorski dyrektora Zygmunta Noskowskiego. Program wypełniły kompozycje znakomitego twórcy „*Morskiego Oka*.“ Jakby chcąc nawiązać nie z ową wspaniałą ilustracją krainy tatrzańskiej, Noskowski napisał poemat symfoniczny, p. t. „*Step*.“

W nowem tem dziele, znakomity kompozytor dał świeży dowód potęgi swego talentu, który wciąż się rozwija i coraz szersze ogarnia widnokręgi. „*Step*“ odtwarza dzieje pierwotne pasterstwa, walkę dawnych mieszkańców ziemi, wreszcie ścieranie się w życiu namiętności ludzkich. Cały poemat ma polot wyobraźni szerokoskrzydły, formę wyrzeźbioną po mistrzowsku, ekspresję dramatyczną wspaniałą. Jestto pod każdym względem dzieło wielkiego talentu świadomego wyższych szlaków i dróg, jakimi kroczy prawdziwe natchnienie.

„*Step*“ wykonała orkiestra berlińska p. Maydera. Orkiestra ta, stale grająca w „*Bagateli*“, ostatnimi czasy wywołała dwie wręcz przeciwne opinie krytyczne. Po jednej stronie znajdują się recenzenci pism codziennych, uważający orkiestrę berlińską za ciałko muzyczne pierwszorzędnej miary; po drugiej stronie — znajduje się prof. T. Hanicki.

Będziemy mieli sposobność w ciągu sezonu letniego przysłuchać się wszechstronnie grającej w „*Bagateli*“ orkiestrze, i wtedy zdamy z wrażeń otrzymanych sprawę przed naszymi czytelnikami, dziś notujemy tylko dla dokładności kronikarskiej, ze względu na ważność faktu, ową zasadniczą różnicę zdań fachowej krytyki o jednej i tej samej produkcji artystycznej. Rzecz godna bliższego rozpatrzenia.

A. Dobrowolski.

## W OBOZIE.

Opowiadanie Ad. Mielezki.

(Dokończenie).

\* \* \*

Dowódca batalionowy Kubika, kapitan Sławewki, mężczyzna lat pięćdziesięciu kilku, zaczął swą wojskową służbę za czasów „wielkiego“ cesarza... Był to jeden z tych dowódców, których w pułku ogólnie nazywają „naczelnikami-ojcami.“

Niewielkiego wzrostu, brunet, z srebrzącym się już dobrze włosom, koloru twarzy prawie brązowego, zwykle będącego oznaką ludzi tylko zdrowych, co swe życie spędził na odkrytem powietrzu, z typowemi „węgierskiemi“ wąsami i przeniklwemi czarnemi oczyma, które stosownie do okoliczności, patrzyły tak łagodnie, że pociągały każdego do siebie, albo się wpijały z taką srogością, że winowajcy stygło w piętach — kapitan Sławewki, był, zdawało się, stworzony na dowódcę oddziałowego. Wdowiec, sam jak palec, nie miał nikogo na całym świecie, prócz starego psa legawego, w batalionie swym widział — swe dzieci, w kółku oficerów pułkowych — rodzinę.

Każdego swego szeregowca znał jak pięć palców swoich, i wystarczało mu jednego spojrzenia, żeby odgadł co się dzieje w sercu żołnierza, o czem myśli, co ma na zamiarze.

Ale wsteczna, bez żadnego widomego powodu, zmiana zaszła w Kubiku, nawet jemu zabiła ęwieka w głowę.

Tak odrazu zmienić się, tak dalece zepsuć, żeby się w powszedni dzień zapieć do nieprzytomności, a przytem zaraz po wyjściu z aresztu — żołnierz nie mógł. Więc był jakiś wyjątkowy powód, i decieć go i uchylić, właśnie było zadaniem kapitana Sławewkiego.

Uskutecznienie tego zamiaru, nie było jednak tak łatwem, jakby się zdawało na pierwszy rzut oka.

Żołnierz, ochotnie, nie tylko się nie wypowiada i nie zdobywa na szczeroci, ale najstaranniej unika wszystkiego, mogącego nazewnętrz wykazać, co mu leży na sercu. Pochodzi to z dwóch przyczyn: pierwsza, główna, że najczęściej nie zdaje sam przed sobą sprawy, zkad go napada „lichu“; mówi, że go „smokecze“, i więcej nie umie objaśnić; druga — trzeba głębokiego utożsamienia, żeby zniewolić żołnierza do otwartości; żaden podstęp, żadne udane dostrojenie się do jego poziomu, nie zmusi go do przyznania się. Trzeba być w duszy samemu żołnierzem, przytem być człowiekiem prawdziwie szlachetnym, ze zdrowym rozsądkiem i mieć silną wolę, żeby zasłużyć na zaufanie swych podwładnych.

Takim właśnie człowiekiem był kapitan Sławewki.

Tegoż dnia, przed wieczornym rejestrem, Kubik zmieszany, zawstydzony, z bólem głowy, jak nieswoją stanął przed dowódcą.

Sławewki zbliżył się do niego i pilnie, kilka chwil, patrzył mu w twarz.

— Zkad ci się wzięło, upijać? — zaczął napominającym, ostrym tonem, nie spuszczać z niego oczu.

— Zawiniłem, wielmożny kapitanie! — zdobywając się, jak mógł najdobitniej, odrzekł Kubik, głosem „służbowym“, ale głos mu drżał widocznie.

— Czy nie spotkało cię żadne nieszczęście?

— Żadne, wielmożny kapitanie!

— Od kogoś odebrał list, durniu?

— Od rodziców, wielmożny kapitanie!

— Pomyślny?

— Pomyślny, wielmożny kapitanie!

— Wszysey zdrowi w domu?

— Wszysey zdrowi, wielmożny kapitanie!

— Nikt nie umarł?

— Jontek... to... synek mój, wielmożny kapitanie!

I na tem „Jontek“, głos mu drgnął i mało co się nie zerwał.

— Był słuszny już?



— Lat pięć, wielmożny kapitanie!

— Czemuś mi, durniu, nie powiedział o tem wcześniej?

Kubik milczał, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Słowo współczucia dowódcy, wywarło wpływ na jego zboląłą duszę, jak życiodawczy balsam; chciał się rzucić do nóg tego człowieka, którego uważał zawsze za jakąś wyższą, niedoścignioną dla siebie istotę—ale, naturalnie, nie mógł nawet o tem marzyć; było to niepodobieństwem. Subordynacja wojskowa nie dopuszczała podobnych wylań; i dla tego, całe jego uczucie wyrażało się tylko tem, że mu się pierś wzdymała coraz więcej i wypuklała, a on sam się wyprężał do tego stopnia, że jedna jeszcze chwila wysiłku, a pękłoby mu serce.

— Daleko twoja wieś?

— Czternaście mil; w Balieach, wielmożny kapitanie!

— No, ruszaj, durniu, do domu, pobądź dwa tygodnie, pociesz swoją babę, bo głupia, pewno beczy tam... i wracaj nazad.

— Wedle rozkazu, wielmożny kapitanie! Pokornie dziękuję, wielmożny kapitanie!

— Tak... Chwilę kapitan dziwnie jakoś patrzył w przestrzeń... Sobie pić wymyślił, dureń! spać we froncie! A nadal, żebyś się sam nie kurował od uroków... ot ci!—i Sławecki zbliżywszy się doń, boleśnie go skrzyknął za ucho i, na pożegnanie, jeszcze dawszy mu dojmującego kulaka w kark, odprawił.

Kubik z ulżonem sercem, odnowioną duszą, dziarsko zrobił zwrot w tył, i pomarszerował do batalionu, wybijając takt nogą.

Nieszczęście to, które mu się wydało bez żadnego wyjścia, odrzucał z siebie, i uczuł się prawie tak samo rzeźkim i tak samo spokojnym jak przed odebraniem listu.

— Panie Ignacy!—rozległ się głos za Sławeckim, gdy on uniosłszy połać płótna, zamierzał dać nurka do swego namiotu, w którym kipiał mały pochodowy samowarek i już stała nalana szklanka herbaty.

— A co chcecie, panie Józefie?—zwrócił się do zbliżającego go z fajką w rękę starego swego przyjaciela, kapitana Padurra, z którym służyli razem jeszcze junkrami...

— Czy wiecie, że stary widział was, jakieście się tylko co, tu rozprawiali!—rzekł Padurra, nieznacznie wskazując głową w kierunku domku pułkowego dowódcy.

Sławecki obejrzał się i spostrzegł na niewielkim terasiku zgrabną postać, w rozpiętym śnieżnej białości kaftanie, młodego pułkownika, który, ledwie przed kilku miesiącami, otrzymał pułk i nie umiał sobie na żaden sposób poradzić ani z regularnem wprowadzeniem w chód mechanizmu służby pułkowej, ani określić swego stanowiska do oficerów.

Pułkownik, baron Otton von Schinder, rozpoczął swą wojskową karierę w gwardji, przesłużywszy w niej lat 15-ie, z których dwa przebył w akademji, a trzynaście przy sztabach i ordynansach rozmaitych figur, otrzymał pułk... Jak tym pułkiem rządził pr i takim doświadczeniem? odpowiedź byłaby zbyteczną.

— Bóg tam z nim! Bo ma oczy! odparł obojętnie Sławecki, machnąwszy ręką. Czy ja wiem! Lepiej chodźmy do mnie na herbatę

— A arak bądź e? z uśmiechem spytał Padurra.

— I arak się znajdzie.

I obaj kapitanowie skryli się w namiocie.

\* \* \*

Nazajutrz, przed skończeniem rannych zajęć, do Sławeckiego zbliżył się konno adjutant pułkowy.

— Panie kapitanie, dowódca pułku prosi pana do siebie, po skończonej mustrze, rzekł, oddając mu honory wojskowe.

— Dobrze, odpowiedział kapitan, z kolei dotykając daszka swego kaszkietu.

— Upalisko! odezwał się, tym razem innym już tonem zupełnie, adjutant, poprawiając się na siodle i zdjawszy czapkę, rozgarnął włosy nad czołem.

— Chcesz cygara? podał mu Sławecki skórzaną pochewkę.

— I owszem, daj, może będzie znośniej! uśmiechnął się adjutant.

— Nie wiesz czego stary chce?

— Nie, nie wiem. Nie mów!

Adjutant pogawędził trochę jeszcze, zapalił cygaro i odjechał do obozu.

Po skończonej mustrze i zwolnieniu bataljonu, Sławecki zaszedł do siebie, zmienił biały kaftan bez naramienników na mundur i udał się do dowódcy pułku.

Żołnierz ordynansowy, w uniformie pułku gwardyjskiego, z przydługimi nieco, wypomadowanymi włosami, natrętą facyatą, pozujący na grubijańską powagę, spotkał go na ganku.

— Zamelduj!—dał mu Sławecki rozkaz krótki, starając się nie patrzeć na niego... Sam widok tego „emancypowanego“ szeregowca, już mu przewracał wszystkie wnętrzości.

— Pan pije teraz herbatę, odparł mu.

Ten „pan,“ z zaniechaniem służbowego tytułu honorowego, do czego obowiązany jest każdy podkomendny, odpowiadając albo zadając pytanie, oburzył starego kapitana do najwyższego stopnia.

— Gdy ci każe, słysz!—A pilnuj się, bo ci skrzyknę łeb, bydlę jakieś!—ofuknął tak groźnie, że głos jego niechybnie był słyszany w mieszkaniu.

Inteligentny ordynans zrozumiał, że nie ma z kim żartować, i wszedł do pokoju.

— Proszę!—rzekł, wróciwszy po chwili, ale znowu nie dodał mu tytułu.

Sławecki przestąpił próg i ujrzał się w niewielkim, ale z niezmiernym komfortem i wykwinicie urządzonej gabinecie, pośrodku którego stał baron, z wypieszczonemi czarnemi bakembardami, przedziałem angielskim nad czołem i nadpodziw małemi białemi rączkami.

Widocznie był rozgniewany, ale się powstrzymywał.

— Witam pana, rzekł tonem oficjalnym, i skinął ruchem głowy ledwie dostrzegalnym, nie podając ręki...

Sławecki milcząc, skłonił się.

— Utrudzam pana kapitanie, z powodu wczorajszego jego postępkę; pozwolisz pan sobie zapytać, na jakiej zasadzie nadałeś pan sobie prawo wczoraj bić żołnierza?

— Panie pułkowniku, ehciej mi wybaczyć uwagę, którą się ośmielałem uczynić, że uważam za niestosowne objaśniać mój postępek w przytomności podkomendnego, spokojnym, równym głosem wyrzekł Sławecki, wskazując oczyma na stojącego obok ordynansa.

— Precz!—krzyknął doń baron wybuchając.

Ordynans wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Kapitan chciał mu złożyć swój raport, ale pułkownik, już rozgorączkowany, nie dał mu przyjść do słowa.

— Pan wiesz: Najprzód, że, podług regulaminu, nie masz pan prawa dotknąć palcem żołnierza—zagadał, dobitnie oddzielając każdy wyraz jeden od drugiego; powtóre: Pan wiesz, jakim wstrętem przejmują mnie te wszystkie pięściowe rozprawy, a niemniej przeto, pozwalasz sobie, nie tylko wyprawiać bójkę, ale nie ścieśniasz się dopełniać tego, nawet, nieomal w mojej przytomności. Uprzedzam pana, że, za najłżejsze przekroczenie w podobnym rodzaju samowolne, będę oddawał pod sąd! A teraz aresztuję pana na dwie doby aresztem domowym, z przystawieniem sztyldwacha. Moje uszanowanie...

Sławecki, błąd od poniesionej obelgi, skłonił się i wyszedł.

Jego—starego, bojowego kapitana, jak junkra za swawolę, jak malca jakiego, sadzają do aresztu na dwie doby...

Było się nad czem zadumać.

Ciężko było na sercu z taką zniewagą Sławeckiemu. Narazie, nawet zamyślał o dymisji, i zabrał się do napisania o przedstawienie jej, ale potem, gdy pomyślał, że trzeba będzie rozstać się z batalionem, że Drynda nie zjawi się wieczorem z raportem, że kapitan Padurra nie przyjdzie na herbatę z arakiem i gawędą, nie będzie już namiotu—machnął tylko ręką, rozdarł papier i gniewnie potarł kulakiem oczy, które mu niezwykle zaświerzbiały i zjawiła się w nich jakaś wilgoć...

\* \* \*

Po dwutygodniowym urlopie, powrócił prawie zupełnie spokojny Kubik, z nowym zapasem sił i rzeź-

wości. Podróż i pobyt w rodzinnej wiosce, uleczyły go prawie zupełnie, i znowu się tak samo gorliwie jął służyć jak dawniej.

Tak jedno nieszczęście żołnierskie, które groziło w końcu dramatem żołnierskim, rozwiało się po Bożym świącie. A drugie, zapewne się z czasem także zapomniało.

Z czasem, wszystko się zapomina.

## Kronika działalności kobiecej.

— Na ostatniem posiedzeniu sekcji rzemieśln. p. Bojanowska podniosła głos w kwestji utworzenia „Towarzystwa pomocy i opieki nad robotnicami fabrycznymi“ oraz utworzenia cechów niewieściech w zakresie takiej pracy, jakiej nigdy nie mają się mężczyźni, a to: kwaciarstwa, hafciarstwa i zajęć tym podobnych. Pani ta żąda obok tego opieki nad robotnicami, mającemi małe dzieci, oraz zabezpieczenia ich tak od nędzy, jak i smutnych wypadków, jakie stać się mogą gdy zajęta praca poza domem zostawia je na łasce i niełasce przypadku.

— Utworzyło się w mieście naszym Towarzystwo opieki nad guwernantkami i bonami francuskiej narodowości. Celem Towarzystwa jest dostarczanie, im taniego a przecież wygodnego pomieszkania z utrzymaniem domowym, oraz wyszukiwania pracy. Mienie Towarzystwa wytwarza się ze składek członków, opłat od mieszkań w czasowym przytułku, ofiar, oraz z dochodów jakie przynoszą kapitały i majątki Towarzystwa.

— Pod przewodnictwem p. Karolowej Szlenkierowej odbyło się w Schronisku przy ulicy Drewnianej posiedzenie rady opiekuńczej tego zakładu. Schronisko przyjmuje dzieci od lat pięciu w czasie, gdy ich matki, szczególnie wdowy, udają się na robotę po za domem. Dzieci przebywają w Schronisku od godziny 7-mej rano do 8-mej wieczorem, otrzymując obok całodziennego pożywienia opiekę pod dozorem siostry miłosierdzia, a mieści się ich tam obecnie 34, lecz zgłasza się jeszcze wiele matek proszących o przyjęcie tu dzieci i Rada postanowiła powiększać liczbę dzieci w miarę zwiększających się funduszy. P. Olszewska podniosła tu głos żądając utworzenia takiego zakładu w okolicach ul. Krochmalnej i Wolskiej. Dla potrzebnych urządzeń i utrzymania dzieci do d. 1-go lipca postanowiono podnieść z kasy Tow. Dobroczyńności 337 rs. Na lekarza Schroniska zaproszono już D-ra Wisłockiego, lecz zanim zbierze się na to fundusz odpowiedni powzięto zamiar, aby przyjmowane były dzieci małe w ochronach Tow. Dobroczyńności.

— Do zarządu instytucji jałmużniczej zaproszono p. Helenę Chrostowską; godność protektorki otrzymała księżna Marya Radziwiłowa.

— P. Marya Kleniewska, właścicielka dóbr Kluczkowice urządziła dla dziewcząt wiejskich naukę ślójdu i szwalnię, a znajdują się tam ubiory wieśniaczek, próby samodzielnego, ubiór szkolny dziewczynek, 16 tablic z rysunkami wskazujące jak dziecko ma się trzymać, wyroby z drzewa, 32 tablic do tych wyrobów, tablica pogładowa dla kucharek, warsztat tkacki według wzoru szwedzkiego i tym podobne przedmioty.

— Najstarsza w Europie akademja muzyczna, Santa Cecilia, założona przez Palestrino i odznaczająca się tak do dni dzisiejszych, że ją uważają za najznakomitszą instytucją w zakresie sztuki swojej, przyjęła za członka honorowego śpiewaczkę niemiecką, Minnę Hauck. Dwie artystki tej narodowości, wspomniana Minna Hauck i Amanda Lindner, otrzymały od księcia Sasko-Meiningen order zasługi w zakresie sztuk i nauk.

— W Norymberdze urządzoną została przez „Stowarzyszenie kobiet bawarskich“ wystawa sztuki. Otwarta d. 14 maja jest bardzo licznie zwiedzana a dochód za bilety użytym będzie na zakładanie szkółek dziewcząt i pomoce naukowe dla niezamożnych zwłaszcza sierot.



— Na uniwersytecie genewskim młoda panna, Ida Welt, zaszczycona godnością doktora nauk przyrodniczych, wykłada kurs chemii z wielkiem uznaniem świata uczonego.

— Miss Bolton, sekretarka Narodowego Towarzystwa niedopuszczającego okrucieństwa nad dziećmi, wygłosiła odczyt wykazujący jak działalność w tym kierunku jest potrzebną, zwłaszcza w klasach mniej wykształconych, gdzie brak zrozumienia natury dziecka nie pozwala rodzicom sądzić dostatecznie pobudek czynów karygodnych, lub tylko popełnionych z płochości lekkomyślnej.

— Miss Agnieszka Weston przemawiała na do rocznym zebraniu „Chrześcijańskiego Towarzystwa ludzi dobrej woli,“ jak należy pojmować to, co nazywamy cnotą. „Cnota, to pragnienie szlachetne nietylko spełniania nakazanych nam obowiązków, ale czynienia dobrze zawsze i wszędzie, gdzie jest do tego pole. Trzeba też na to mieć rozbudzone w sercu poczucie miłości bliźniego, trzeba zatłumić w sobie samolubstwo i umieć podnieść się do ofiary.“

— Ewa Nansen małżonka sławnego podróżnika i badacza okolic podbiegunowych przybyła do Anglii z celem dawania tam koncertów wokalnych, których dochód przeznaczyla w połowie dla wdów i w ogóle kobiet o własnej sile w życie idących. Pani ta rozumiała że praca jest najlepszą pocieszycielką ludzi samotnych, ludzi smutnych; królowa Wiktorja była na jednym z tych koncertów i napisała do niej list bardzo piękny, w którym podnosiła właśnie tę stronę, jak człowiek może się bronić od smutków i wyczerpujących siłę ducha tęsknot. Królowa zakończyła list zdaniem, że praca to jedynie mocna podstawa życia.

## Zawiadomienie.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w r. 1897 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1893, 94, 95 i 96, druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający kasą, własnem staraniem usiłuje zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie

prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Bank Handlowy) lub na ręce jednego z członków komitetu przed końcem roku bieżącego.

Prezes komitetu Antoni Okolski.

Członek komitetu

Sekretarz: Stanisław Libicki.

## Z bieżącej chwili.

— Pod przewodnictwem J. E. księdza biskupa Ruskiewicza odbyło się zebranie członków instytucji jałmużniczej dla wstydzących się zebrać. Odczytane sprawozdanie wykazało że rozdano 219 wsparć rodzinom ubogim w sumie 1,214 a na kształcenie ubogich dziewcząt 740 rs. Fundusze tej instytucji przedstawiają obecnie fundusz kościelny 1,624 rs., jałmużniczy 32,093 rs. Od założenia tej instytucji przed 53 laty, wydano na zasifek biednych i edukacją sierot około 90,000 rs.

— Ogłoszone świeżo sprawozdanie za miesiąc kwiecień z działalności tanich kuchni i przytułków noclegowych wykazuje, iż wydano 157,388 porcji strawy cieplej, oraz kawy i herbaty, na co wydatkowano 4,402 rs. W przytułkach znalazło nocleg 26,313 osób a w tej liczbie 1,215 bezpłatnie. Towarzystwo przeciwzembracze przedstawia taki stan kasy: rezydent z marca wynosił 8,169 rs., kwiecień przyniósł dochodu 5,443 rs.; wydatki objęły 4,145 rs., więc na maj pozostało do rozporządzenia 9,466 rs.

— Na ostatniem zebraniu Towarzystwa muzycznego, któremu przewodniczył p. Aleksander Feist, członek komitetu, postanowiono wytworzyć sekcję, której obowiązkiem jest opieka nad orkiestrą mają-

cą istnieć przy Towarzystwie, oraz postarać się dla tej orkiestry o stały na pewnych podstawach ugruntowany byt i zajęcie. Zebranie postanowiło obok tego zaprosić do współdziałania w naradach reprezentantów stowarzyszeń klubowych, oraz redaktorów pism warszawskich i mecenasów sztuki. Obecnie zorganizowany tymczasowo komitet sekcji stanowią p. p. Feist, jako prezes, D-r Polak wiceprezes, Noskowski sekretarz, Kowalski skarbnik, oraz p. p. Roguski, Münchejmer, Zachorowski, Maszyński i Stattler.

— P. Jakub Gianelli, wynalazca balonu, posiadającego ster, zamierza przybyć do Warszawy i czyni już starania o pozyskanie pola Mokotowskiego na punkt wzniesienia się w powietrze.

— Redaktor „Ogrodnika Polskiego,“ p. Edmund Jankowski wydał książkę bardzo pouczającą pod tytułem „Dla ogrodników,“ gdyż nie wszyscy mogą uczyć się do szkół ogrodniczych, których u nas jest jeszcze niewiele. Książka może choć w części pewnej brak ten zastąpić, wyjaśniając przynajmniej w głównych zarysach na czem polega rozumna hodowla roślin, a będzie to już rzeczą wielce pożyteczną bo mogą z niej czerpać pewne wiadomości osoby inaczej w tym kierunku oświecać się nie mogące. Natchnieniem do napisania tej książki jest myśl zacna przyłożenia się w tym kierunku do dobra ogólnego i autor pisze w przedmowie: „Każdy powinien służyć współbraciom swoim wszystkim, co umie. Daję to na co mnie stać. Niech przyjmą dobrem sercem to co powstało pod wpływem świętej miłości ludzkości.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się ark. 5-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją. Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Koronacja Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszego Pana Cesarza Mikołaja II-go Aleksandrowicza i Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorowny.—Druga wystawa higieniczna w Warszawie, przez W. N.—Fragment, przez Maryę Chluską.—Joanna Ambrosius, przez M. I.—Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego.—W obozie. Opowiadanie Ad. Mieszki (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Zawiadomienie.—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 5-ty.—Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya stołu.